B. PRUS

SEN

SEN

RB

BOLESŁAW PRUS

SEN

Wraz z nowelką Stefana Żeromskiego

**„COKOLWIEK SIĘ ZDARZY
NIECH UDERZA WE MNIE“**



Nr. 14.

WYDAWNICTWO „JUTRA PRACY“
W KNECHTSTEDEN
1946.

Odbito w powielarni własnej
„JUTRA PRACY"

Był na czwartym kursie medycyny pewien ubogi student. Miał jedną korepetycję za sześć rubli miesięcznie, na Pradze, u maszynisty kolei Terespolskiej, i jedną na Podwalu, u sklepikarza za trzy ruble. Sam zaś mieszkał na Piwnej, na czwartym piętrze, za cztery ruble, której to sumy systematycznie nie placił; nie dlatego, ażeby zrujnować gospodarza domu, ale że nigdy nie cuchnął pieniędzmi.

Nosił mundur wybielony na szwach, a przy nim guziki wytarte aż do czerwonej miedzi. Jego spodnie były tak filigranowe, że ledwie je można było uważać za logarytmy spodni rzeczywistych; kieszenie zaś on sam nazywał próżnią Torricellego. Nie było w nich nic tak dalece, że w końcu zawstydzone pouciekały z ubrania, a miejsce ich zajęły dziury, aż do środka ziemi głębokie.

Skutkiem tak szczególnych warunków finansowych ubogi student miał zaklęsłe piersi, mocno zapadły brzuch i głowę zwieszoną nie ze smutku bynajmniej, ale z tej racji, że jego biedna głowa posiadała nierównie więcej nauki, aniżeli można było udźwignąć na tak bardzo chudej szyi.

„Gdybym był Panem Bogiem, inaczejbym świat urządził — mówił niekiedy. — Wynalazłbym sobie kore-

petycje za trzydzieści rubli na miesiąc, jadłbym codzień obiad, sprawiłbym palto na zimę, płaciłbym za mieszkanie... A tak..."

Niekiedy sięgnął fantazją w przyszłość i myślał:

„Dałbym sto dukatów temu, kto by mi powiedział, czy ja skończę medycynę, czy nie?.. Bo z tym głupim kaszlem, z tymi gorączkami, z tym pluciem... Zresztą co mi tam! Nie ja będę winien, jeżeli Europa straci doskonałego lekarza... Jakbym ja pysznie leczył!... Każdemu pacjentowi jedna recepta: mieszkanie suche, co dzień opalane; śniadań i kolacyj można nie jadać, ale obiad bezwarunkowo; odzienie powinno być całe i zastosowane do pory roku. Przy tym, conajmniej trzeba mieć dwie własne koszule, i... wystrzegać się lekarzy i lekarstw".

Pewnego dnia, przed świętami Bożego Narodzenia, odebrawszy za lekcje na Pradze pięć rubli, nasz przyjaciel znalazł się w dużym kłopocie. Chciał gospodarzowi opłacić komorne za lipiec, a tu... masz! oddał wyjeżdżającemu koledze trzy ruble długu, sklepikarzowi osiemdziesiąt pięć kopiejek za artykuły kuchenne, stróżowi był winien rubla... Skąd tu wziąć na komorne za lipiec?...

Tak był zafrasowany brakiem równowagi w swoim budżecie, że dopiero w południe wrócił na Piwną. Gdy zaś oddał rubla stróżowi i zażądał klucza od mieszkania, stróż odparł, drapiąc się w głowę:

— Bo, proszę pana, tam już się wprowadzili na czwarte piętro...

— Któż?... jakim sposobem?... co to za rozbój?...— zawołał student, sięgając machinalnie do kieszeni, w której u bandytów bywają pistolety, a u zwykłych śmiertelników pieniądze.

— Gospodarz powiedział — mówił stróż — że pan nie płaci pół roku, więc kazał pańskie rzeczy wynieść do mojej izby, a mieszkanie wynająć dekarzowi. Bieda tam, panie — dodał — żona, troje dzieci... i już dzisiaj pożyczyli ode mnie kartofli i węgla. Żeby nie pański pokój, mówi dekarz, to pewnie przyszłoby im zmarznąć z dziećmi na ulicy...

Ubogi medyk głęboko się zamyślił.

— Ha, jeżeli tak — rzekł — to mogę ustąpić. Ale gdyby tu sprowadził się Bloch albo Kronenberg, pokazałbym gospodarzowi, co to znaczy lekceważyć zobowiazania!...

Kiwnął głową i wyszedł na ulicę, nie pytając nawet o swoje rzeczy, co było godne prawdziwego mędrca, który z bogactw doczesnych posiada szczoteczkę do zębów, pół ręcznika i bardzo piękny atlas anatomiczny.

Już nie myślał ani o dekarzu, ani o gospodarzu. Zdawalo mu się, że ma trochę gorączki, że po całodziennym poście wartoby coś przekąsić, chociaż nie czuł głodu. Gorączka, a może i wprawa, dużo znaczy w takich wypadkach. Więc wstąpił do sklepiku, wziął jako smakosz dwie suche kiełbaski, a jako człowiek praktyczny — kawał razowego chleba, i cały ten sprawunek za wielką dumą kazał sobie zawinąć w gruby papier od cukru. Zdawało mu się, ze sklepikarka posądza go o wybieranie się w podróż do bieguna północnego i że ogląda go z podziwem; tymczasem sklepikarka posądzała go tylko o chroniczną goliznę i pilnie przypatrywała się, czy moneta, którą jej dał nie jest falszywa.

Otrzymawszy dziesięć groszy reszty, nasz przyjaciel znalazł się już stanowczo na ulicy, gdzie po śniegu, rozpuszczającym się w błocie, jeździły wozy z mięsem albo pieczywem, i sanki napełnione amatorami poetyckich wzruszeń. Wtem na rogu chodnika porwała go za rękę jakaś stara kobieta, ubrana w stos łachmanów, i na cały głos poczęła krzyczeć:

— Panie!... panie!... jacy my biedni!...

„Oczywiście poczuła zapach suszonej kiełbasy (te głodomory mają pyszny węch!)“—pomyślał medyk, ażeby uniknąć kompromitacji, dał babie ostatnią dziesiątkę.

— Niechaj Bóg ci da szczęście!... — zawołała osoba w łachmanach, która niegdyś snadź była wielką damą. Tak przynajmnie wskazywały jej wykrzykniki, pełne deklamacyj, dowodzących subtelego uczucia.

Ubogi medyk wyrwał się z jej objęć, jak goły z ukropu.

— Kompromitująca baba! — myślał. — Jej chustka i mój mundur są tak podobne do siebie, że ludzie gotowi nas posądzić o kuzynostwo“.

Swoją drogą na tle dźwięczenia dzwonków, stukania sanek o bruk uliczny i turkotu dorożek, zdawało mu się, że słyszy jej błogosławieństwo, wypowiedziane równio z wykwintnym, jak zakatarzonym głosem:

— Niech Bóg ci da szczęście!...

„Szczęście? — myślał, idąc chodnikiem, na którym potrącali go przechodnie. — Co to jest szczęście? Niejednokrotnie słyszałem ten wyraz, ale choć niczego nie brak mi w życiu, i mam prawo nazywać się kompletnie zadowolonym, nie śmiałbym jednak twierdzić, że kiedykolwiek byłem szczęśliwym. No, wieczorek w domu Bajera jest przecie coś wart... Niech mnie diabli wezmą, jeżeli nie zjadłem na samego siebie pięciu serdelków i pół funta sera, nie licząc bułek. A poncz, co?... Orygjnalny arak Goa od Fuksa, burgund od Maliniaka, cytryny... Cytryny były, zdaje się prawdziwe. Piłem i jadłem, jak arcyksiążę. Nawet były panny, jeżeli się nie mylę, z pierwszorzędnej restauracji, gdzie obiady wydają tylko na porcje... Nie mogę jednak powiedzieć, ażeby to było szczęście; choć po ponczu już na drugim piętrze tak mnie rozebrało... Ponczowe uniesienia, nawet towarzystwo panien z pierwszorzędnej restauracji, nie są prawdziwym

szczęściem. Czego bo tam brakło na tym wieczorku?... Był przecie śpiew, wino, kobiety, a jednak wszystko skończyło się nudnościami. Więc co to jest szczęście?“

Przed dwunastu laty, kiedy jechał w lekkim płaszczyku na Boże Narodzenie do domu, było mu tak strasznie zimno, że myślał, że zamarznie w drodze. Palce i uszy piekły go, nosa nie czuł, nogi miał drewniane, a po całym ciele przebiegały mu dreszcze. Lecz gdy stanął w domu i dano mu kubek gorącej herbaty z mlekiem, gdy położył się do łóżka i skostniałe nogi zaczęły mu się ogrzewać, poczuł nieznaną dotychczas błogość.

Z przyjemnością myślał o tym, jak go paliły uszy, o tym, że dreszcze zostały gdzieś na dworze, i wydał mu się bardzo pocieszny cień głowy ojca, z nienaturalnie dużym nosem, który poruszał się na ścianie. A jak wesoło paliła się ta świeca i jak spokojnie zasypiał on sam, ciesząc się, że mróz tak dobrze go wymęczył!

Później w jego życiu było więcej takich mrozów, deszczów, głodów i wszelkiego rodzaju utrapień. Ale dziwna rzecz: żadnej z tych prywacyj nie oddałby za wieczorek z ponczem i pannami, a nawet za trzydziestorublową korepetycję. Bo każde cierpienie zostawiało w duszy jego jakby blask, słodycz i ciepło, którego nie podobna niczym było zastąpić.

„Więc co to ma być szczęście?“ — myślał.

W tej chwili spostrzegł, że jest w Saskim Ogrodzie, na który już zaczął padać mrok wieczorny. Poza czarnymi gałęziami drzew i żelaznymi kratami ogrodu widać było tu t ówdzie zapalone w oknach światła.

Po alejach snuło się leniwie kilku przechodniów, biegnących ku bramom, jakby ich goniła noc i zimno. Po śniegu figlowalo kilka psów, a jeden, odznaczający się cienkością talii i podwiniętym ogonem,

przypatrywał im się z dalcka, wykonywując zadem takie ruchy, jakby miał zamiar usiąść na tylnych nogach, ażeby rozetrzeć przednie.

Ten widok przypomniał ubogiemu studentowi, że i on sam zmarzł diabelnie. Więc położył swoją paczkę z chlebem i kiełbaskami na ławce i zaczął biegać po alei, bić rękami o boki i rozgrzewać uszy.

— Trzeba przyznać — pomyślał, czując błogie skutki ćwiczeń — że człowiek jest o wiele doskonalszą istotą od psa, który nie potrafi rozetrzeć sobie uszu.

Wtem pod ławką usłyszal niepokojące klapanie. Spojrzał... Jego paczka leżała na śniegu potargana, kiełbasek już w niej nie było, a nad reszką chleba znęcał się okrutnie ten sam pies, który przed chwilą z taką melancholią patrzał na gonitwę swoich kolegów. I teraz przysiadł na zadzie i miał ogon bardzo podwinięty; ale jego szczupła talia zdawała się być nieco pełniejsza...

— Bodaj cię!... — wrzasnął ubogi student.

Jednym skokiem znalazł się obok psa i potężnie kopnął go w garnitur białych żębów.

Pies zaskowyczał, zatoczył się i pędem uciekł w stronę najbliższej bramy, żałośnie jęcząc:

— Aj — aj!... aj — aj!... aj — aj!...

Teraz dopiero patrząc na potargany papier i resztkę niedogryzionego chleba, przyjaciel nasz jasno sformował sobie, że mu jest zimno, że mu się bardzo chce pić, że nie ma dachu nad głową, i że, bądź jak bądź, ale student z czwartego roku medycyny nie może znajdować się w tak dwuznacznej sytuacji.

— Co ja tu będę czekał na ulicy, aż mnie przemarzłego wezmą do cyrkułu? — myślał. — Mam przecież bardzo przyzwoite lokum: któryś z naszych musi być dyżurnym w klinice u Dzieciątku Jezus, więc pójdę tem i zastąpię go. Wyśpię się za to jak anioł, zjem, wypiję...

W dziesięć minut później już byl w klinice, gdzie istotnie zastał dyżurnego kolegę, któremu oświadczył chęć zastąpienia go przy chorych. Kolega pilnie mu się przypatrzył, zapewnił go, że swoich chorych za żadne skarby nie odstąpi, ale że jemu da łużko w oddzielnym pokoju, który akurat jest wolny. Kolega nawet był tak uprzejmy, że pomógł mu rozebrać się, kazał przynieść herbaty, położył go, okrył i... wsadził termometr pod pachę.

— No, przecie nie myśli kolega, że jestem chory? — zapytal śmiejąc się nasz przyjaciel. — Cała rzecz w tym, że wyrzucił mnie dziś gospodarz i ze nie mam gdzie spać... Gdyby nie to, ani myślałbym zaglądać do kliniki...

Dyżurny potakiwał gościowi, dodając w duchu, że gdyby nie dziwnie pusty żołądek, lekkie zajęcie płuc, czterdziestostopniowa temperatura i sto dwadzieścia uderzeń pulsu na minutę, nasz przyjaciel mógłby się uważać za kompletnie zdrowego.

Tymczasem ubogi student czuł się z każdą godziną lepiej. Był zachwycony szpitalnym łóżkiem, co chwila wzywał kolegę na dysputy filozoficzne o tym, co właściwie jest szczęście, i ...na co to jest życie ludzkie, — a już około dziesiątej wieczorem był tak zdrów, że nie tylko ciągle śmiał się i śpiewał, ale nawet chciał koniecznie wyjść na miasto. Prawie siłą musieli zatrzymywać go w łózku, dopóki po szamotaniu się nie wpadł w zupełne odrętwienie, w którym nie słyszał głosów i nie widział snujących się ludzi.

Przed jego oczami, zamkniętymi dla rzeczy ziemskich, otworzył się inny świat.

Zdawało mu się, że jest na wsi i że patrzy na niebo podczas zachodu słońca. Niebo wyglądało jak szmaragdowy ocean, pokryty złotymi i srebrzystymi

wyspami, które zaludniały postacie ludzkie, zwierzęce i roślinne.

„Oczywiście mam gorączkę — myślał chory — ale co mi szkodzi patrzeć, kiedy to takie zabawne?"

Więc patrzał na ów nowy kraj, uśmiechając się sceptycznie, jak człowiek, któremu pokazują niknące obrazy i opowiadają bajki.

Przede wszystkim uderzył go wygląd przedmiotów. Liście drzew miały, jak i u nas, kolor zielony, kora — brunatny, piasek był żółty, ziemia szara, kwiaty różowe, białe, niebieskie, ale wszystkie te barwy cechowała niepojętna delikatność i blask. Takie barwy można było widzieć tylko w obłokach, albo w kroplach rosy. Nadto zaś wydawało się medykowi, że każdy przedmiot nie tylko odbija jakieś potężne światło zewnętrzne, lecz nawet przyświeca i zarazem sam świeci niepojętym własnym światłem. Wytwarzała się z tego dziwna gra kolorów, pełnych subtelności i życia.

Dzięki temu oświetleniu, wpatrzywszy się lepiej, można było widzieć pulsujący ruch kamieni, które kurczyły się, rozszerzały, falowały na powierzchni i wewnątrz za każdą zmianą temperatury, ciśnienia powietrza, a nawet za każdym ruchem i odgłosem, jaki rozlegał się w ich sąsiedztwie. Można było widzieć niekiedy powolniejsze krążenie soków w roślinach, dyszenie ich liści i wykluwanie się nowych pączków. Zdawało się też, że przy mocniejszym natężeniu wzroku można było dojrzeć snujące się, jak obłoki, myśli w głowach i zmieniające się barwy uczucia w sercach ludzkich.

Prócz tego każde drgnienie kamieni, szelest liści, powiew wiatru, nawet zmiana człowieczej fizjonomii ogłaszały się delikatnym szmerem, który środkował między melodią a mową, i albo coś sam od siebie tłumaczył i opowiadał słuchaczowi, albo z innymi gło-

sami łączył się w jakąś obszerniejszą melodię czy rozleglejsze opowiadania. Tym sposobem, nie przeszkadzając sobie, rozmawiały poszczególne kwiatki i cały las, krople wody i ocean, ziarnka piasku i niezmierne łancuchy gór. Dla zbadania zaś tajemnic natury nie było potrzeba żadnych specjalnych metod, bo każda rzecz sama odsłaniała i opowiadała swe tajniki, zarówno malowniczym i dźwiecznym, jak prostym i jasnym językiem.

W tym osobliwym kraju, gdzie ludzie, zwierzęta, nawet rozbite cegły żyły, czuły i rozmawiały, gdzie piasek lśnił jak złoto, a brukowiec załamywał światło nie gorzej od diamentu, ubogi student, przypatrując się uważniej, dostrzegł niespodziewane zjawisko.

Wszystko tam było piękne: mężczyźni, kobiety, rośliny i kamienie; ale najpiękniejsze było to, co w ziemskim życiu nazywa się ubogie i cierpiące. Jedwabie, aksamity, perły i złoto wśród ogólnego przepychu wydawały się powszednie i wyblakłe; natomiast grube płótno, siermięgi, lipowe łapcie chłopów i łachmany nędzarzy miały w sobie coś oryginalnego, co zwracało uwagę.

Regularne twarze i posągowe kształty nużyły jednostajnością; chude zaś, połamane i okryte bliznami ciała, budziły interes. Na widok pięknego człowieka ubogi student machnął ręką i myślał:

„Ech! taki on, jak miliony innych; widocznie o nic się nie rozbił..."

Ale każda ułomność i rana zaciekawiały go, i mówił do siebie:

„Tego faceta musieli jednak diabelnie przejechać!..."

Ten sam interes budziły strzaskane drzewa, ruiny budynków i całe okolice zburzone trzęsieniem ziemi. Student nie pytał, skąd biorą się rzeczy foremne i ozdobne, bo na tym świecie wszystko było foremne, ozdobne i jeśniejące barwami; lecz w wysokim

stopniu zajmowała go każda nieforemność, każde złamane istnienie. Było ono jakby księgą, w której zapisywały się ważne wypadki.

„Szczególna rzecz — mówił — jak mi to przypomina zdanie: Błogosławieni maluczcy i ci, którzy cierpią...“ Muszę wyznać, że ci maluczcy wyglądają bardziej malowniczo, a cierpiący mają w sobie coś dramatycznego“.

Niekiedy skały z szafirów i topazów, skąd wypływał strumień wody podobny do tęczy, i gdzie krył się nieszczęsny Cezar przed widziadłami setek tysięcy pobitych wojowników, student zobaczył grupę kobiet. Były tam bankierowe w naszyjnikach z pereł, hrabianki w bransoletach z diamentów, hrabiny w koronkach i strusich piórach, z zazdrością i żalem tłoczące się około starej Żydówki, która siedziała przy beczce śledzi.

Stroje tych dam na tle łąki ze szmaragdów, upstrzonej rubinami, szafirami, ametystami, którą przerzynał strumień diamentów, wyglądały jak stare ścierki. Tymczasem barchanowa watówki Żydówki, skąd tu i ówdzie wyłaziła wata, miała kolor i połysk prawdziwego brązu, ozdobionego kłaczkami srebra. I piękne twarze kobiet były jakieś smutne, a nawet (strach powiedzieć) bezduszne. Zdawało się, że są to trupy, w których ledwie tli się iskierka świadomości, ciągle przygasającej i drżącej o to, że zgaśnie.

Wpatrzywszy się bliżej student poznał, że damy te nigdy nic nie robiły i niczego przykrego nie doświadczyły w życiu. Ich zasób duchowy był prawie żaden, wciąż przyćmiewał się i groził zamienieniem się w nicość. Ażeby mocno orzeźwić obumierającą myśl, nieszczęśliwe istoty skupiły się koło starej Żydówki, która z litości pozwalała im patrzeć w okienko swego życia i stamtąd czerpać jakby oddech dla wiecznie konających piersi.

Historia śledziarki była bardzo prosta: dawała ona co tydzień, przez trzydzieści lat, po śledziu i po kawałku chleba biednemu człowiekowi, który w piątek z rana przechodził koło jej beczki najwcześniej.

Student spojrzał w okienko jej życia i zobaczył jakby aleje ludzi rozmaitego wieku, siedzących, stojących albo leżących na chodniku, na śniegu, pod parkanem, na schodach, na rusztowaniu mularskim, a każdy jadł śledzia z chlebem i nad każdym widać było obrazy jego życia. Ten chciał się zabić z głodu, lecz obdarowany przez handlarkę, nabrał ochoty do życia. Tamten miał kraść, lecz w porę dany posiłek uratował go od więzienia. Inny chciał porzucić drobne dzieci, inny zabić człowieka dla pieniędzy, lecz każdego zwrócił ze złej drogi mały śledzik i kromka chleba.

Student czuł głód i gniew tych biedaków, a potem radość i budzące się lepsze myśli. Widział ich rodziny uratowane od niedoli, i ludzi, którzy mogli się stać ofiarami ich dzikości. Pomiędzy zaś całą tą gromadą snuł się otyły bankier, który zobaczywszy raz, jak litościwa Żydówka obdarowywala biedaka śledziem, zaprowadził bezpłatne obiady dla ubogich, i również, jak ona, uratował niejednego od zguby.

Słowem, przez okienko życia starej Żydówki widać było ogromny świat ludzi cierpiących a uradowanych, gniewnych a uspokojonych, i desperatów, którzy znaleźli nadzieję. Wszyscy oni mnożyli się i dawali początek nowym cierpieniom i uciechom. Taki zaś między nimi panował ruch, że biedne salonowe damy, w których gasła dusza, popatrzywszy na ten kipiący obraz, ożywiały się, odzyskiwały niknącą świadomość bytu, po to — niestety — ażeby jeszcze boleśniej czuć jego pustkę.

Stara zaś Żydówka w oberwanej watówce, z rękami splecionymi na brzuchu, przymrużała oczy i kiwa-

ła głową, uśmiechając się litościwie. Ona nie potrzebowała patrzeć w okienko swego życia, bo miłosierna jej dusza była zasypana wspomnieniami, jak drzewo kwiatem na wiosnę.

„Tamta baba, której dałem dyske, istotnie wywróżyła mi szczęście — mówił student. — Z tego, co widzę, zaczynam domyślać się, że największym zaszczytem jest cierpienie, a największym szczęściem dobre uczynki. Mnożą się bestie, jak szczury, każdy wydaje setkę nowych, a każdy z tej setki nową setkę... Tymczasem biedny Cezar wygląda na faceta, którego inwalidzi rzymscy od wieków procesują o zgubione nogi i głowy (dragoński los), a damy wielkiego miasta nieustannie konają na pewien rodzaj duchowej anemii".

„Tym sposobem ja — dodał — mogę pędzić tu bardzo przyjemne życie. Mam mundur dziurawy, żołądek o tyle pusty, że mógłby robić konkurencję okienku śledziarki, i w rezultacie nie zrobiłem nic tak złego, co by mi tu psuło humor..."

W tej chwili usłyszał okropny głos, wołający:

— Aj — aj!.. aj — aj!... aj — aj!..

Dreszcz go przebiegł, i zdawało mu się, że w uszy wbijają mu się sztylety. Uczuł ból tak dotkliwy, że wobec niego zbladły wszystkie piękności snu.

Skomlenie oddaliło się i powoli uchło, a przestraszony student myślał;

„Co u diabła (jeżeli podobnego wyrazu godzi się używać w podobnym miejscu) to chyba ten pies, któremu dałem w zęby w Saskim Ogrodzie? Padam do nóg... Jeżeli mi urządzi drugi podobny koncert, to choć zmykaj! No, jeżeli za tego rodzaju krzywdy mam taki bal. to ciekawym, jak wyglądają ci szlachcice, u których dać furmanowi w zęby należy do szyku?

„Wartoby jednak zobaczyć — mówił po namyśle — jaki jest kapitał zasług. Czym podobny do szczęśliwej

śledziarki, która przez swoje okno widzi legiony obdarowanych, czyli też do tych pięknych pań, które duszą się tu, jak ryby wyjęte z wody?

Ledwie to powiedział, spostrzegł, że jego z serca wysnuwają się tysiące promieni, jakby złotych nici, które biegły w stronę ziemi i czepiały się, jedne grobu rodziców, inne domu, gdzie przepędził dzieciństwo, inne drzew, pod którymi biegał, kamieni, na których siadał zmęczony, krynicy, skąd pijał wodę. Jeszcze inne serdeczne promienie zahaczały o jego kolegów, o ulubione książki, o znajome panny, nawet o gazety i paradyz w teatrze.

Były to wszystko przedmioty i ludzie, których kochał. Dzięki zaś promieniom czy nitkom, co go połączyła z nimi, jego własne życie w tej chwili spotężniało mu tysiąc razy. Czuł radość jednego z kolegów, który o tej porze dojeżdżał do domu na święta; drugiego, który wybierał się z wizytą do pewnej miłej panienki; śledził bieg myśli czwartego, który przygotowywał się do egzaminu. Słodki smutek spłynął mu do duszy od drzew pokrytych śniegiem, i od starego domu, w którym wiatr klapał spróchniałymi okiennicami.

Ale między tysiącem złotych promieni, co przynosiły mu cudzą radość albo żal tkliwy, znalazło się kilkanaście nici czarnych, łączących go z nielubianymi ludźmi i rzeczami. Te zatruwały mu szczęście, bo cieszył się, czy smucił człowiek nielubiany przez nikogo, czarna nic zawsze jednakowo targała mu serce jakimś ostrym i piekącym bólem.

„Więc naprawdę miłość daje szczęście, a nienawiść cierpienie?... — mówił zadumany, czując, że żadnej z tych złotych ani czarnych nici zerwać nie podobna. — A może ma realną wartość przestroga: „Miłujcie nawet nieprzyjacioły wasze..." I byłożby faktem, że przez miłość i nienawiść współżyjemy z bliźnimi, któ-

rzy stają się jakby nierozdzielną częścią naszej duszy?"...

„Ehe! — zawołał — stare bajki! Muszę mieć tęgą gorączkę, jeżeli na czwartym kursie medycyny przychodzą mi do łba podobne głupstwa... Miałyżby mnie już na zawsze udręczać te czarne nici?" — myślał w dalszym ciągu.

I rozum mówił mu, że na zawsze, bo co raz stało faktem, nie może zginąć ani w naturze, ani w duchu. Jeżeli każdy przybór wody znaczy się na wybrzeżach, jeżeli każda epoka geologiczna zapisuje się nawet na skałach, dlaczego nie miałyby się gdzieś zapisywać fale ludzkich myśli i uczuć? Z czasem mogą ją pokryć nowe warstwy, ale zatrzeć... — nigdy!...

„Głupia historia"— mruknął ubogi student, i, ażeby odpędzić smutne myśli, które po nitkach nienawiści pełzały mu do serca jak robactwo, postanowił zbadać nową kwestię: na co w życiu ludzkim są cierpienia, a na co radości?

Gdy to pomyślał, w marzeniu jego zaszła wielka zmiana: zamiast barwnej, jaśniejacej zobaczył ciemną kuźnię, w której pracowały dwie olbrzymie istoty nieokreślonej formy.

Jeden olbrzym dął miechem w ognisko, z którego wyskakiwały iskierki mniejsze od ziarnka maku, a drugi chwytał iskry i zamykał je w granitowych kulach, dużych jak karmelicka bania.

— Dzień dobry! — rzekł student. — A co to robicie, majsterkowie?...

— Ja — odpowiedział ten od miecha — spędzam tu nasiona dusz.

— A ja — dodał drugi — zamykam je w ciała ludzkie.

— Fiu! — gwizdnął student. — Ośmielam się wątpić, ażeby tak marne nasienie przebiło tak doczesną powłokę. Przecież ta granitowa kula ma ze trzy łokcie średnicy; jakim więc sposobem drobne nasienie duszy może z niej wypuścić kiełek?

— Gdyby wam dać mniej grubą powłoke doczesną — mruknął drugi olbrzym — prędkobyście się z nią załatwili, łajdaki!...

— Trzeci majster powie acanu, jak się to robi — odpowiedział ten od miecha, widocznie łagodniejszy.

Teraz ubogi medyk zobaczył na progu kuźni trzecią, jeszcze posępniejszą istotę, która wykonywała dziwną pracę. Brała ona granitowe kule z zamkniętymi wewnątrz iskierkami i strasznym stalowym kolcem, przy pomocy tysiącfuntowego młota, dziurawiła granit aż do środka. Za każdym uderzeniem granit jęczał i płakał krwawymi łzami. Albo wnet z jego wnętrza wydobywała się cieniutka łodyżka światła. Wtedy olbrzym wysadzał kulę z kuzni na powietrze, tam łodyżka rosła i pokrywała się gałązkami (albo więdła), a olbrzym brał znowu kulę, znowu wbijał jej kolec aż do środka, znowu wydobywał nową łodyżkę światła, która wystawiona na powietrze, znowu rosła.

I tak wciąż.

— Za pozwoleniem... — rzekł do straszydła ubogi student, dotykając palcami czapki — a co to majsterek robi?

— Pomagam rozwijać się duszom — odpowiedział strach.

— Aż granit skwierczy... — rzekł student.

— Ale za to spojrzyj acan, co się robi z duszą...

Medyk wyszedł przed kuźnię i patrzał na stosy brył granitowych. Gdy wiatr wiał łagodny i spokojny, jak czysta radość ludzkiego serca, łodyżki pokrywały się mnóstwem gałązek, i dokoła granitowej bryły tworzył się niby las światła. Lecz jeżeli wionął wiatr gwałtowny i palący jak namiętność, niektóre gałązki, ba! nawet cały las duszy — usychał.

A straszydło wciąż dziurawiło granit, który płakał

i z kamiennego łona wypuszczał coraz nowe pędy.

— Kto pan jesteś, panie majster...— spytał student zdumiony i przerażony krwawą robotą.

— Ja jestem Cierpienie — odpowiedzialo widmo z okrutnym kolcem.—Gdyby nie ja, dusze wasze zostałyby do końca świata ziarnkami maku, które śpią w bryle materii...

— Oj!... muszę mieć diabelną gorączkę! - myślał student, pędem uciekając od kuźni.

Ten stan zaniepokoił go, więc rzekł:

„Spróbójmy rozumować trzeźwo, wedle wskazówek anatomii, fizjologii, farmakologii i akuszerii: Ponieważ mózg funkcjonuje nieprawidłowo, więc majaczy mi się, nawet cierpienia mają swój cel, że powodują rozwój ludzkiego ducha. Gdybym zaś sądził rzeczy naukowo, w takim razie jedno rozumiałbym, że nie tylko w cierpieniu, ale nawet w całej naturze nie ma celu. Dowodzi tego przecież w sposób niezbity istnienie sutek piersiowych u mężczyzn, tudzież ludzkie ucho zewnętrzne, które jest organem bezcelowym, ponieważ nie możemy się nim oganiać nawet przeciw muchom, jak to robią, dajmy na to, krowy... Dalej... ponieważ jestem chory, więc marzy mi się, że nasze ziemskie życie przygotowuje duszę ludzką do życia wyzszego, jak gimnazjum do uniwersytetu. Gdybym zaś był zdrów na ciele i umyśle, wierzyłbym z filozofem Hartmannem, że cały świat żyjący dąży do tego, ażeby unicestwić bezświadomy absolut, jak robaki w serze szwajcarskim dążą do zniweczenia szwajcarskiego sera. Ten zaś hartmannowski, czyli bezświadomy ser szwajcarski, sam się stworzył, ale bezświadomie, po to, ażeby go zjadły i ażeby zjadły samych siebie, także bezświadomie".

Skończywszy rozumowanie ubogi medyk zawołał z radością:

— Widzę, chwała Bogu, że moja gorączka nie mu-

si być zbyt wielka, jeżeli nie przeszkadza mi myśleć i zgodnie z najnowszymi rezultatami filozofii".

Wtem spostrzegł, że stoi na niezmiernej płaszczyźnie białych, wełniastych obłoków, na której w środku wznosił się przepiękny posąg jakiejś osoby, większy od najwyższych gór ziemskich. Osoba ta miała błękitną szatę, mnóstwo fałd, sięgających aż do stóp, ręce skrzyżowane na piersiach i twarz głęboko zamyśloną. Fałdy jej sukni wyglądały jak pasma wzgórz, oddzielonych głębokimi przepaściami; po tych zaś wzniesieniach i zagłębieniach uwijały się istoty wielkości mrówek, nadzwyczajnie podobne do ludzi uczonych w beretach i togach.

Ubogi student od razu pojął, że olbrzymia ta osoba jest Rzeczywistością, i że łażące po niej mrówki usiłują za pomocą lunet, cyrkli, kątomierzy i odczynników chemicznych zbadać prawdziwy kształt owego posągu.

Widoczne było, że mrówki pracują usilnie i że znajomością rzeczy. Na nieszczęście posąg był miliard miliardów razy większy od nich, skutkiem czego żaden badacz nie tylko nie mógł wzrokiem ogarnąć całości, ale nawet jakiejś większej części. Mierzyli więc po omacku, z wielkim trudem i bardzo powoli, tak, że nad poznaniem jednej fałdy pracowało kilkanaście pokoleń, myląc się i kłócąc między sobą. Dla pojęcia formy Rzeczywiści należało zbadać kilkaset poziomych i pionowych przekrojów, których dowody tworzyły linie długą na paręset kilometrów. Tymczasem badano ledwie kilkanaście przekrojów, i to w niższych częściach posągu, zrobiono zaś kilkanaście metrów.

Mimo to, rozprawiano o całości, którą jedni uważali za figurę prawidłową i celową, inni — za martwą i bezładną kupę wypadków, i ci byli najzuchwalsi

— Mam lunetę — wołał jeden — tak potężną, że widzę przez nią aż koniec nosa, lecz nie dojrzałem myśli w naturze!

— Co tam luneta — odparł drugi. — Ja zbadałem kilkanaście nagniotków wielkich ludzi i wcale nie znalazłem duszy.

— A ja nawet życia nie widzę w naturze... — dodał trzeci — choć zrobiłem sztuczny mocz, nie różniący się ciężarem, kolorem, zapachem, ani smakiem..

— Każdy osioł robi to lepiej i taniej — przerwał mu właściciel lunety.

— Ale ja jeszcze w moim dystylatorze uniwersalnym zrobię sztucznego człowieka...

Matematycy badali stopę Rzeczywistości, a ponieważ pracowali najdawniej i najporządniej, więc prędko ukończyli swój kontur i odkryli w nim uderzającą prawidłowość. To upoważniło ich do wniosku, że całość musi być wysoce prawidłowa, i twierdzili, że można zastosować ich formuły nawet do tych części posągu, których jeszcze żadne doświadczenie nie tknęło.

Ale badacze nagniotków i wynalazcy sztucznego moczu zakrzyknęli ich, więc praca posuwała się zwolna i wśród ogólnego zamętu.

Widząc to ubogi student pomyślał:

„Oczywiście jestem najdoskonalszy z ludzi, bo dokładnie zrozumiałem to, czego nie mogą pojąć nawet najmędrsi. Rzeczywistość nie jest chaosem, lecz całością nie tylko prawidłową, lecz i piekną, ja zaś...“

A w tym momencie rozległo się skomlenie psa: „Aj — aj!...“, które tak wstrząsnęło chorym, że otworzył oczy...

Tym razem nie był już ani w krainie szczęścia, ani w ciemnej kuźni, gdzie wykuwano życia ludzkie, ani na płaszczyznie obłoków, nad którą wznosiła się rzeczywistość, lecz na szpitalnym łóżku.

Otaczali go koledzy, na których twarzach spostrzegł niepokój i zdumienie.

— Cóż mi się tak przypatrujecie? — zapytał.

— To ty mówisz? - zapytał jeden. — No, więc będziesz żył...

— A stałeś już obcasami w grobie — dodał drugi.

— Chyba na tamtym świecie — odparł rekonwalescent, przypominając sobie dziwny sen.

— Aż na tamtym?... Cóż tam słychać?... Jakie wiadomości?...—żartowali koledzy.

Ubogi student machnął ręką i pomyślał:

— Żartujcie wy sobie, a ja co wiem, to wiem...

Gdy zaś przyszedł do zdrowia, nie tylko nie narzekał na swoją biedę, ale owszem, cieszył się z niej. A ile razy spotkała go ciężka zgryzota, przypomniał sobie promienie światła wytryskające z granitowej bryły pod ciosami C i e r p i e n i a, i mówił, że w takiej chwili dusza mu się rozrasta...

„Cokolwiek się zdarzy, niech uderza we mnie...“

Na łóżku, oznaczonym liczbą 24, w najbardziej ciemnym kącie sali, leżał od kilku miesięcy trzydziestoletni może parobek folwarczny. Nad wezgłowiem łóżka kołatała za każdym poruszeniem się chorego czarna, drewniana tablica z napisem: „Caries tuberculosa...“ Amputowano biedakowi nogę powyżej kolana wskutek suchotniczego gnicia kości. Chłop był bezrolny, kartoflarz, z kartoflarzów pochodził. Miał we dworze służbę, ożenił się był przed trzema laty, chłopaka o konopiastej czuprynie się dochował — aż oto, ni z tego, ni z owego, zabolała go noga w kolanie i pootwierały się ranki. Dał dobry człowiek furmankę i odstawiono chudziaka na koszt gminy do szpitala.

Tamto jeszcze pamiętał dobrze, jak jedzie w odwieczerze jesienne z kobieciną swoją w paradnym wąsagu z półkoszkami, jak se popłakują oboje ze strachu i żałości — i co se zapłaczą, to przegryzą jajkiem ugotowanym na twardo — a potem to już tylko jakaś niezmierna szarzyzna, niby mgła, nie mgła...

Dnie szpitalne bez różnicy, bez odmiany, znikły mu z pamięci, tworząc jakby niezgłębioną wyrwę w życiu — tylko smutek nieodmienny przez ciąg tylu miesięcy przygniatał mu duszę z taką nieubłaganą i brutalną siłą, z jaką płyta kamienna przygniata mogiłę. Przez tę mgłę pamięta pół-jasno dziwne dziwy, jakie z nim wyrabiano: kąpanie, głodzenie, zapuszczanie w rany drucików aż do kości — potem operacje, jak

niosą go na salę między panów, ubranych w fartuchy krwią zbroczone — i to dziwne, nieustraszone męstwo pamięta, jakie go podparło tej godziny, niby ręka miłosierdzia.

Przed operacją, patrząc na szereg zjawisk budzących wstręt — snuł i on z głębi prostej swej duszy nić rozmyślań, jakie snuć uczy ta największa na ziemi mistrzni: — wspólna sala w szpitalu. Po operacji wszystko zasłoniło znużenie śmiertelne i niechęć. Zimno mu było ciągle, a około południa i nad wieczorem zaczynało w czaszce coś ciążyć niby kula kamienna, i szły od kuli do nóg strumienie mrozu. Od palców znowu zdrowej nogi ciągnęły ku czaszce fale rozmarzającego ciepła. Myśli, jak kropelki żywego srebra, chyżo zlatywały w jakiś kącik mózgu, i podczas gdy leżał skurczony w kałuży potu, podczas gdy powieki opadały same nie na sen, lecz na bezwładność — napastowały go dziwaczne, półsenne widziadła.

Oto znikało wszystko, i zostawała tylko szara, nieujęta, przesycona zapachem chloroformu przestrzeń, na pół rozświetlona przez znikome i rozproszone światło, podobne do wnętrza niezmiernego ostrokręgu, jaki się już zaczyna i jak lej bez miary leży na ziemi. Tam, w niesłychanej oddali, gdzie się zwęża wierzchołek, istnieje biała plamka switelista: tamtędy się wychodzi... Idzie do tej szczelinki dniem i nocą po nieskończonej linii spiralnej, obiegającej wewnętrzną powierzchnię lejka, idzie przez mus, przez wysiłek, jak ślimak, choć się zrywa w nim coś, jak kwiczoł, zaczepiony nogą w sidle, choć trzepocą w nim niby skrzydła ptasie. I nie może podlecieć wyżej, niż na długość sidła, i ciągle spada a spada... Wie, co z onej szczelinki widać. Tylko nogą stąpić — miedza idzie na niwce pod lasem, gdzie były jego własne cztery zagony kartofli. I śni mu się podczas gdy się wyry-

wa mechanicznie ze swej próżni — czas kopania. Cicho tam pod lasem, jest jesienna przejrzystość przestrzeni, co zbliża z odległości przedmioty i daje je widzieć wyraźnie. We dwoje z kobieciną kopią piękne, jak kocie łby, ziemniaki. Na wzgóreczku, na ścierni, pastuchy zebrali się w gromadkę, workami się pookręcali, poskurczali bose nogi, jałowca suchego nanieśli, zapalili ognisko i wygrzebują patykami z popiołu pieczone kartofle. Dym w powietrzu pachnie jałowcowy, wonny...

Gdy bywał zdrowszy, trzeźwiejszy, gdy go nie tak dokuczliwie męczyła goraczka, wpadał w bojaźń, w trwogę przeraźliwą zdruzgotanych i zamęczonych. Jestestwo chłopa skupiało się pod jej naciskiem w wielkość tak małą jak ziarnko szaleju, i zlatywało gnane przez różne przesądy, przez jakieś dźwięki przeraźliwe, roztrącając się o gzymsy próżni bezdennej.

Nareszcie zaczęła się goić rana na nodze i gorączka ustąpiła. Dusza biedaka powróciła jakby z tamtego świata do pierwotnego jej stanu, do rozmyślań nad tym, co przesuwało się przed jego oczami. Lecz jakże zmienił się rdzeń tych rozmyślań! Dawniej była to litość wyrastająca ze wstrętu — teraz była to nienawiść skaleczonego zwierzęcia, gwałtowne pragnienie odwetu, wściekłość obejmująca drapieżnym uściskiem zarówno tych nieszczęśliwych, którzy leżą obok, jak i tych, co go okaleczyli.

Co wiecej, zrodziło się i trwało, nie ustając w jego sercu, niby skowyczenie, z którym w zapamietałym pościgu biegly jego myśli, doszukując się tej mocy, co nań wyrok wyda.

Ten stan nękania samego siebie trwał długo, i wzmogło się rozjątrzenie duszy.

Aż oto pewnego razu zauważył, że zdrowa noga drętwieje mu i puchnie w kostce. Gdy chirurg naczelny odbywał codzienną wizytę poranną, chłop zwierzył mu się ze swą obawą.

Lekarz badał jego wyschnięte, zwiędłe ciało, przeciął nieznacznie nabrzmienie, zobaczył, że sonda sięga kości, strzepnął palcami i spojrzał ze smutkiem zagadkowym w oczy parobka.

— Źle, bracie z tobą! Trzeba by drugą nogę... uważasz także... tego... A tyś kiepski. Leż sobie tu, tu ci będzie lepiej, niż chałupie, jeść ci dadzą...

I odszedł w towarzystwie asystentów.

Od drzwi powrócił jeszcze na chwilę, nachylił się nad chorym i nieznacznie, aby nikt nie widział, przesunął pieszczotliwie ręką po jego głowie.

Chłopa zamroczyło, jakby go znienacka bijakiem cepów ugodzono w ciemię. Zamknął oczy i leżał długo — az nastała w nim cisza nieznana.

Jest w duszy ludzkiej kryjówka zaczarowana, na siedem zamków zamknięta, a nie otwiera jej nikt i nic, tylko wytrych złodziejski mściwego nieszczęścia.

Sofokles nazwał kryjówkę tę po imieniu przez usta oślepłego Edypa... A kryje się w niej dziwna rozkosz, słodka konieczność, największa mądrość.

Cicho leżał chłopina ubogi na swym tapczanie i szedł po duszy jego jakby Chrystus po bałwanach wzburzonych morza, uśmierzając burzę...

Odtąd przez długie noce, przez dnie plugawe patrzył na wszystko jakby z niezmierzonego oddalenia, z dobrego miejsca, gdzie jest cicho i niewymownie dobrze, skąd wszystko wydaje się małe, trochę zabawne i głupiutkie, lecz godne miłości.

— A niech-ta, niech-ta... — szeptał do siebie — niech-ta Pan Jezus da ludziom... Nie bój się! i mnie ta niegorzej przecie...

KONIEC.

WYDAWNICTWA »JUTRA PRACY«

w KNECHTSTEDEN

A. STAŁE:		RM
1.	»JUTRO PRACY« — tygodnik.	0.50
2.	»MŁODY POLAK« — czasopismo dla młodzieży szk.	1.—
3.	»PROMYCZEK SZCZĘŚCIA« czasopismo dla dzieci	1.—
B. JEDNORAZOWE:		
1.	»MUCHA« — broszura humorystyczna (wyczerpana)	1.20
2.	»BOMBA ATOMOWA« — (wyczerpana). . . .	2.50
3.	»LATARNIK« — H. Sienkiewicz	1.20
4.	»ŚNIEŻKA« — bogato ilustrowana bajka dla dzieci . (gruby druk)	5.—
5.	»SIENKIEWICZ NA WESOŁO« — wesołe wyjątki z »TRYLOGII« H. Sienkiewicza	2.50
6.	»DZIEJE POLSKI« — E. Mielcarka — skrypt powielany (Din A 4) w druku	5.—
7.	»120 PRZYGÓD KOZIOŁKA MATOŁKA«-Kornela Makuszyńskiego (w druku)	
8.	»ANTEK« Bolesława Prusa	3.—
9.	»OMYŁKA« — Bolesława Prusa	4.50
10.	»SIŁACZKA" — S. Żeromskiego	2.—
11.	DROBIAZGI (nowele Prusa i Konopnickiej) . .	2.20
12.	«NAWRÓCONY»	2.20
13.	«Jaś Sowizdrzał» . . . . :	5.00
14.	«Sen» B. Prusa	2.00

C. WYDAWNICTWA ZAMIERZONE:

Małostronicowe nowelki autorów polskich typu: »Janko Muzykant«, »Stary Sługa« i t. p.

Nasz adres dla zamowień:
»J u t r o P r a c y« in (22a) K N E C H T S T E D E N
über Neuss 2

Wysyłamy do strefy brytyjskiej za zaliczeniem pocztowym. Na strefę amerykańską wysyłamy po otrzymaniu pieniędzy wewnątrz listu poleconego, lub potwierdzienia od naszej fili pieniężnej, adres:
»P o l s k a C h r y s t u s o w a« — Polen Lager in
(16) DARMSTADT bei Frankfurt a. Main

Tam, gdzie zamieszkuje Polka lub Polak, winny się znajdować wydane przez nas:

a)	**Godło Państwowe . . . .**	**2.50**
b)	**Portret gen. Sikorskiego . . . .**	**2.00**
c)	**Portret gen. Andersa . . . .**	**2.00**